

Insignium Fatum

Mateusz B. Paszun

Rogatki Dorpatu powitały jeźdźca odorem i dymem. Miasto otaczał typowy dla Agarii wysoki mur obronny w starym stylu, z zębami blank i zwodzonym mostem nad wąskim, błotnistym i śmierdzącym kanałem parodiującym fosę. Nie była to metropolia katedralna – nad zbite ciasno zabudowania wybijała się tylko niewielka twierdza, wieża ratusza i dwa krzyże kościołów. Oraz czarny słup dymu.

Gniady, zgrzany ogier zatańczył niespokojnie łapiąc w nozdrza słodkawy swąd spalenizny i krwi bijący od szeroko rozwartej, nie pilnowanej bramy. Od boków konia odrywała się całymi płatami piana. Dosiadający go, przygarbiony bólem i zmęczeniem mężczyzna uspokoił wierzchowca kilkoma cichymi słowami. Potem obrócił się w siodle i zlustrował trakt, którym przyjechał. Na gościńcu nie było widać żywego ducha, a przecież popołudniowa pora ostatecznego jesienno-powinno wygnać z miasta ostatnich kupców i wieśniaków wracających do domów.

Jeździec był już niemłody, niski ale barczysty, odziany w brązowy kaftan noszący kiedyś wojskowe dystynkcje. Zgubił gdzieś kapelusz. Przyprószony siwizną, rzadkie ciemne włosy oblepiały spoconą czaszkę. Półpeleryna na lewym ramieniu i spodnie, choć dobrej jakości, były znożone. Podobnie wysokie buty z cholewami i przetarte skórzane rękawice na dłoniach pewnie trzymających wodze. Wszystko oklejała zaschnięta krew. Ciemna, krótka broda jeźdźca pasowała do wąskich ust i ogorzalej skóry twarzy zroszonej teraz potem. Mężczyzna miał na lewym barku krwawy kwiat – brzydką ranę wyglądającą na niedawny postrzał. Przez dłuższą chwilę wyraźnie wahał się czy nie ominąć bramy i nie odbić na wschód. Potem spał zmęczonego konia i wjechał w cień barbakanu.

Wkrótce przemierzał szeroką ulicę prowadzącą do rynku. Była zupełnie wyludniona. Ostry dźwięk kopyt na bruku, jedyny odgłos w okolicy, odbijał się echem w pustych zaułkach. Przekrwione oczy jeźdźca bacznie lustrowały najbliższe budynki, przeslizgiwały się po niedomkniętych okiennicach, byle jak zawartych warsztatach rzemieślniczych, resztkach kramów i sznurach z praniem rozpiętym wysoko w bocznych uliczkach. Mężczyzna czuł, że mijane budynki nie są puste. Obserwowano go.

Zastanawiał się co się tu wydarzyło. Zaraza? Pożar?

Przemarsz wojska? Jakieś lokalne święto? Agaria była pełna osadników z różnych stron Dominium. Być może tutejsi ludzie tak właśnie czcili trzeci dzień tygodnia.

Pierwszego trupa jeździec zauważył dwie przecznice dalej. Zwłoki leżały twarzą w rynsztoku szarpane za nogawkę przez małego, tłustego psa. Zwierzę to skomlało to warczało, w żaden sposób nie mogąc ruszyć ciężkiego ciała, być może swego pana. Zabity, ubrany jak przeciętny mieszczanin, miał rozbitą czaszkę i zakrwawione plecy. Zlinczowano go.

Jeździec nie zatrzymał się nad zwłokami, wyprostował za to w siodle i sprawdził czy ciężki kawaleryjski pałasz gładko wychodzi z pochwy. Olstra na pistolety były puste.

Kilka kamienic dalej, obsiadły przez ptaki, dyndał nagi trup kolejnego nieszczęśnika. Powieszono go na szyldzie szewca i jeździec ze zdziwieniem dostrzegł, że zabity wciąż ma na sobie ciżmy, jakby był to jakiś groteskowy żart. Dookoła wałały się resztki mebli, jakieś brudne szmaty i narzędzia. Śmierdziało paloną smołą. Wciąż nie było widać żadnego żywego mieszkańca.

Pogrom, bo na to wszystko wskazywało, musiał wybuchnąć kilka, może kilkanaście godzin temu. Mężczyzna z doświadczenia wiedział, że mieszkańcy długo będą dochodzili do siebie po czymś takim. Teraz większość z nich zamknęła się w domach nie mogąc uwierzyć własnym odbiciom w zwierciadłach. Inni pewnie kończą gdzieś indziej to co zaczęli, nie potrafiąc lub nie chcąc pohamować euforii mordy i nienawiści.

Przed ratuszem dopalał się stos. Powykrzywiane, zwęglone resztki pięciorga lub więcej ofiar (trudno było zidentyfikować płeć czy wiek) ugrzęzły pomiędzy poczerniałymi bierwionami. Obok miejsca kaźni trzech pijanych mężczyzn dopingowało swego towarzysza, który chwając się oddawał moc na dymiące szczątki. Mężczyźni dostrzegli zbliżającego się jeźdźcę i śmiechy umilkły. Zbili się w kupę, mierząc intruza ponurymi spojrzeniami. On zaś wstrzymał konia i przyglądał się im w milczeniu z odległości kilkunastu metrów. Na rynku zaległa głucha cisza. Wysoko krążyły wrony.

Ktoś przebiegł uliczką nieopodal. Gdzieś trzasnęły drzwi, a może okiennica. Podpici mężczyźni ocknęli się z

odrętwienia i zaszemrali nerwowo. W tej samej chwili jeździec ruszył z miejsca i to znów zamknęło im usta. Przybysz poprowadził zziąjanego gniadosza klusem wprost na nich i musieli odskoczyć, zataczając się przy tym. Jeden przewrócił się na fragmentach beczki po winie i zaczął bełkotliwie kląć. Jeździec nie zwalniając podjechał do karczmy - ładnego piętrowego budynku z niewielką otwartą stajnią, wpasowanego ciasno pomiędzy zniszczone, wąskie kamienice. Tam niespiesznie zsiadł z gniadosza, niedbale uwiązał go do koniowiązu i poluzował popręgi. Nie oglądając się wszedł do cichej gospody. Na jej szyldzie wymalowany był jakiś czarny, rozmazany ptak.

Po wypełnionej szeptami chwili trzech z czterech mężczyzn ruszyło w stronę karczmy. W rękach trzymali podniesione z ziemi kije i popularne w tych stronach wojskowe kordelasy. Z mętnych oczu biła rozbudzona na nowo rządza mordy.

Pierwszy z nich wszedł pod okap stajni i zaczął macać juki przy wojskowym siodle. Ogier zerwał nagle wodze, zarzucił łbem i odgryzł mężczyźnie połowę twarzy. Bluznęła krew, ranny wrzeszcząc zatoczył się pod ścianę karczmy. Dwaj pozostali uniknęli tylnych kopyt wierzgającego konia i wzajemnie sobie przeszkadzając wpadli do środka budynku.

- Zakatrupić suczego syna! - krzyknął pierwszy i zgiął trafiający w krtani klingą pałasza. Sekundę później smukłe ostrze zagłębiło się w trzewiach drugiego napastnika, który nie zdążył nawet zamachnąć się trzymanym oburącz kijem. Przybysz musiał dysponować dużą siłą posługując się, mimo rany, ciężkim pałaszem z szybkością z jaką zwykło się to czynić rapierem.

Ciała osunęły się z głuchym odgłosem na drewnianą podłogę. Mężczyzna sięgnął do najbliższego stołu gdzie odstawił znaleziony w karczmie cebrzyk z wodą. Upił łyk, resztę wylał sobie na głowę. Rzucił naczynie na podłogę i wyszedł z gospody. Jego ostrogi cicho brzęczały wtórując jękowi człowieka okaleczonego przez gniadosza. Ostatni z ludzi na rynku, ten który nie zdecydował się na napaść, zniknął właśnie w jednej z ulic. Gdzieś z daleka dobiegały odgłosy po wojskowemu wydawanych rozkazów i dźwięk werbli. Wierzchowiec nerwowo prychnął.

- Spokojnie gniady - powiedział mężczyzna wchodząc do stajni. Wytarł ostrze w skraj peleryny, wsunął broń do pochwy i podszedł do stękającego pijaka z rozerwaną twarzą, który właśnie dźwigał się na nogi podnosząc ręce w błagalnym geście.

- Ulica Kamienna. - bardziej stwierdził niż spytał przybysz - Dom państwa Hagarian. Którędy?

- Ka.. Kamienna, jasnie panie? Kamienna? - wymamrotał okaleczony kurcząc się w sobie - Od bazyliki na wschód panie, trzecia przecznica, panie. Błagam o zmiłowanie...

- Nieee. - odpowiedział przybysz. Zaparł się rękoma o drewniany filar i wymierzył rannemu kilka silnych kopniaków w głowę, aż tamten stracił przytomność. Potem wyszedł na rynek. Powoli omiótł spojrzeniem okoliczne domy. W oknie na piętrze ratusza jakaś postać cofnęła się w cień. Nad rynkiem nieprzerwanie krążyły ptaki. Człowiek poklepał pokryty pianą bok wierzchowca i zaczął podciągać popręgi.

- Jeszcze trochę gniady. - sapnął ciężko - Wytrzymaj.

Dostaniesz pić. Zjemy coś. - poprawił wybrzuszenie za pazuchą. - Potem go poszukamy.

Za godzinę miał zapaść zmrok.

**

Pojedyncze cienie jednoczyły siły zlewając się coraz szybciej w noc. Ciemność obejmowała miasto wypływając z rynsztoków i studzienek na ulice, do bram i zaułków, a potem sięgała w górę, po gzymsach, wciskała się między przymknięte okiennice. Po dachach i kominach najwyższych kamienic docierała do atramentowego nieba.

Przybysz stał obok swego konia u stóp schodów bazyliki i wpatrywał się w jej zawarte odrzwia, pod którymi piętrzyły się ciała. Po wybuchu nienawiści w mieście, prześladowani widać chcieli schronić się w świątyni. Nie pozwolono im jednak na to. Wielu pewnie zginęło dobijając się do wejścia, drapiąc i wołając o litość. Co wówczas robili księża? Zagłuszeni krzyki jakimś pochwalnym hymnem albo pokutną modlitwą? Zapewne. Mężczyzna od dłuższego czasu pogardzał Kościołem i jego wszelkimi przedstawicielami.

Nagle w stosie ciał przed wrotami bazyliki coś się poruszyło. Drobną sylwetką z trudem wygrzebała się spod przygniatającego ją trupa. Przez chwilę oparła się o niego i znieruchomiła. Z cieni dobiegł zduszony szloch dziecka. Mężczyzna drgnął i uczynił krok w kierunku schodów. Nagle zgiął go ból.

- Nieee - wyszeptał charkotliwie. Zatoczył się w kierunku konia i z trudem wdrapał na siodło. Po chwili ruszył wschodnią aleją. Dziecięcy, cienki głos wołał za nim mamusię.

**

Ulica Kamienna straszyla splekanymi fasadami niskich kamienic, odchylonymi od pionu pod różnymi kątami. Tu także nie było widać żywego ducha. Jeździec jechał powoli środkiem ulicy szukając numeru dziesiątego. Pamiętał go z jej listów. Dlaczego Eliza wybrała takie miejsce do zamieszkania? Dlaczego wybrała takiego mężczyznę? To już nieważne, to stare dzieje. Nie dlatego tu przyjechał. Nie tylko dlatego.

W końcu znalazł ten dom. Przysadzista, szara kamienica niewiele różniła się od budynków ją otaczających. Po chwili zamyślenia mężczyzna zsiadł z konia i zakładał w dębową furtę prowadzącą na wewnętrzne podwórze. Odpowiedziała mu cisza. Przybysz zaczął stukać głośniejsze, nie przerywając.

Nie dostrzegł wysokiej sylwetki, która zbliżyła się ulicą trzymając się blisko ścian. Chuda postać ubrana z miejska, acz mając przy boku rapier i lewak, miała pod wymiętym kapeluszem prowizoryczny, zakrwawiony opatrunek grubo zawinięty na głowie. Krótki lecz bujny wąs rannego człowieka poruszył się nieznacznie.

- Mogę spytać panie, czegoż szukacie w tym domu?

Przybysz odwrócił się z dłonią na rękojeści pałasza. Zmierzył drugiego uważnym spojrzeniem. Ujrzał człowieka w swoim mniej więcej wieku, wyższego i szczuplejszego.

- Właściciela. Pana Hagariana. - odpowiedział hardo.

- A po cóż to?
- Kim jesteście, by się o to pytać?
- Nim właśnie.
- Wilhelm Hagarian to wy? - zdziwienie w głosie jeźdźca nie mogło być udawane.
- We własnej osobie - odparł cicho wąsacz ściągnając kapelusz i nieznacznie rozglądając się dookoła.
- I nie pamiętacie mnie?
- Wybaczcie, ale nie.
- Jestem Janis Duszan.
Wąsacz tytułujący się Hagarianem zbliżył się o krok mrużąc niemłode już oczy.
- Wicehrabia Duszan? Na Boga! Zmieniliście się panie!
- Ha, wy także. Wąs, ten krwawy turban na głowie... - zażartował Duszan.
- To głupstwo. A widzę, że i wy panie, będziecie mogli pochwalić się nową blizną. - Hagarian spojrział na ranę postrzałową u rozmówcy. - Wciąż jesteście hrabio w armii? Mam przed sobą pułkownika, czy może generała? - spytał ze smutnym uśmiechem.
- Już nie... - wycedził gość krzywiąc się. Temat widocznie był mu niemiły.
- Cóż, witam, witam. Zapraszam do środka. Jesteście sami?
Przybysz przytaknął, a Hagarian wy dobył spod szerokiego skórzanego pasa dwa klucze i otworzył nimi furę. Wszedł na podwórze i przytrzymał drzwi gościowi, który wprowadził swego konia. Niewielki placyk ze studnią otoczony był ze wszystkich stron ścianami kamienicy. O jedną z nich opierała się drewniana przybudówka. Hagarian podszedł do niej i otworzył.
- Zostawcie tu konia. Zaproponować mogę tylko chleb, trochę sera i wino. Wszyscy domownicy i sługi wyjechali.
- Wszyscy?
- Wszyscy, panie.
- Chleb i ser... Posiłek iście żołnierski. Obaj jesteśmy ranni, znużeni. Na ulicach krew... - Duszan przerwał na chwilę wpatrując się ze zdziwieniem w swoje zakrwawione rękawice. - Przypominają się stare dzieje, młode twarze... - dokończył cicho.
Gospodarz chrząknął na to - Tęsknisz do nich panie?
- Czasami. - Duszan wprowadził konia do szopy.
- Cóż... Przygotuję stół. Czekam w izbie kuchennej hrabio.
Ogier został szybko rozkulbaczony. Duszan pospiesznie przetaił sierść konia wiechem słomy i dał wierzchowcowi obroku. Przymknął szopę i prawie po omacku wszedł do kamienicy. Za kuchenną sienią była niewielka jadalnia dla służby. Na stoliku, w towarzystwie dwóch cynowych kubków paliła się nowa świeca. Hagarian wynurzył się właśnie z piwniczki dzierżąc omszałą, kamionkową butelkę. Mężczyźni przystawili sobie proste zydle, obok złożyli odpiętą broń. W milczeniu napełniono kubki.
- Za nieoczekiwane spotkanie - wznosił toast Hagarian. Wypili.
- Wybaczcie te warunki, iście polowe, choć pewnie nie są one wam obce panie hrabio.
- Owszem - przytaknął gość sięgając po butelkę i samemu rozlewając. - nie są.
- Wybaczcie - powtórzył gospodarz. Podniósł się i pod-

szedł do kuchennej komody. - Skosztujecie sera?
- Czemu nie. Kiedyś mówiliśmy sobie po imieniu...
- To było dawno hrabio i nie sądzę... - Hagarian wrócił do stołu z gomółką i nożykiem.
- Kiedyś było inaczej Wilhelmie! Kiedy walczy się ramieniem o życie, kiedy razem się pije i razem płacze, człowiek ciska precz konwenanse. Kiedy kocha się tą samą kobietę... - spojrzenie Duszana pobiegło w głąb domu.
- Jak mówiłem nikogo nie ma. - rzekł oschle gospodarz krojąc ser - Moja małżonka wyjechała przedwczoraj razem z dziećmi i służbą do pobliskiego folwarku. Mamy tam przyjaciół. Ja zostałem. Sam nie wiem dlaczego.
- A ja wiem. - gość pokręcił z uśmiechem głową - Zawsze byłeś obrońcą straconych spraw Wilhelmie. Wierzyłeś w ludzi. Mimo tego co widzieliśmy na wojnie. Dziś znów widziałem piękną ilustrację ludzkiej natury. Byłeś na rynku? Istna Kara!
Gospodarz kiwnął głową. Dopił wino i zapatrzył się w dno kubka.
- Długo wzbierająca zawiść znalazła ujście...
- Filozoficzne stwierdzenie. Ja zwykle nazywałem to rzezią. Jak to się stało?
- Nastroje pogarszały się od kilku dni. W końcu czara się przelała. - Hagarian westchnął - W mieście mniejszą ale wpływową część ludności stanowili dawni osadnicy ze wschodu. Wciąż kultywują swoje obyczaje. Są w tym konsekwentni, jak w kupieckich interesach, do których mają talent. Zazdrośni im ludzie postanowili.. przywrócić równowagę. - gospodarz przygryzł wąsa - Wszystko zaczęło się w nocy. Pochodnie, krzyki ludzi wywlekanych z domów. Oskarżyli ich o kult ciemności, tarzali w smole, bili, najzamożniejszych zawlekli na stos. Dopiero koło południa, kiedy pogrom zamienił się w regularne zamieszki, włączyło się wojsko z tutejszego garnizonu.
- Jak przypuszczam zbyt późno by uratować przesładowanych? - zakpił hrabia.
- By uratować ich życia - tak. Ale nie ich majątki. Żołnierze są teraz w zachodniej części miasta.
Milczeli przez chwilę.
- Gdzie cię ranili? - spytał gość.
- Niedaleko ratusza, przed południem. Wtedy przyszli żołdacy. - Hagarian ponownie napełnił kubki - Miałem szczęście, że nie zginął. Tuszca pochłonęła mnie i stratowała, a potem wypluła. Przeleżałem nieprzytomny chyba z godzinę. Jutro jadę do żony. - Przełknął kawał sera i spytał - A wasza rana? Wygląda poważniej. Powinien obejrzeć to medyk.
- Nie mam na to czasu. Jeszcze tej nocy ruszam dalej.
- Nie zanocujecie? Warunki skromne, ale...
- Dziękuję, ale spieszo mi.
- Rana może się rozjątrzyć. To postrzał?
- Tak.
- Kula siedzi w ciele?
Gość machnął lekceważąco ręką.
- Kto do was strzelał? - indagował Hagarian - Miejscowi?
- Nie... . Zbóje na drodze, jacyś chłopcy, może dezertery, nie pamiętam. Jechałem od wielu godzin.
- Tym bardziej powinniście się położyć, hrabio.
- Nie. Dajcie już spokój. Przyjechałem tu z ważną sprą-

wą. – Duszan zawahał się. Milczenie się przedłużało.

– Jeśli mogę w czymś pomóc... – rozpoczął gospodarz.

– Ścigają mnie. – rzekł nagle hrabia – A raczej ścigali. Śmieszna rzecz, niewyraźnie to pamiętam... Jakiś obłęd...

Hagarian wyprostował się powoli i poruszył wąsem.

– Kto was ściga?

– Armia. Dawni towarzysze broni. Ironia losu, prawda?

– Wybaczcie, ale nie rozumiem. Czego ode mnie oczekujecie?

Janis Duszan odwrócił się do okna.

– Kiedyś było zupełnie inaczej, pamiętasz? – powiedział cicho – Przed Ognistą Górą. Wówczas to była krucjata, podbój, przygoda. Teraz to wojna pozycyjna. Impas. Podjazdy, pacyfikacje pogranicznych wiosek. Kiedyś tworzyliśmy historię Wilhelmie.

– Ja pamiętam to inaczej. – gospodarz chrząknął – Jak może pamiętacie odszedłem z dwóch powodów. Dla Elizy i przez rzeczy, których dłużej nie chciałem robić.

– Mianowicie?

– Zapomnieliście hrabio, że kiedyś nasz regiment zwali łowcami skalpów?!

– Wszystko w imię Jedyne. – zakpił Duszan.

– Nie bluźnij pan! Z Bogiem nie miało to nic wspólnego. Puszczaliśmy z dymem kolejne sioła, jednak pogan czy nawróconych, rozbijaliśmy niezdyscyplinowane drużyny wieśniaków. Wywieszaliśmy bogu ducha winnych ludzi bojąc się, że mogą donosić Valdorowi. I mieliśmy się za bohaterów!

– Wilhelmie, wszak jesteśmy forpoczta cywilizacji i wiary. – kpił dalej lodowato Duszan. Gospodarz skrzywił się.

– Nie rozumiem was zatem. – powiedział spokojniej – Wojaczka przestała i wam się podobać? Zabrakło podbojów? Służba jeła się nudzić? Przecież słyszałem niedawno, że wasza zwiadowcza kompania hrabio, słynni dragoni Duszana, panuje nad całym Pograniczem! A teraz uciekacie z wojska?

– Dragoni Duszana. – gość nieomal wypluł te słowa – Moi ludzie. Wszyscy nie żyją.

– Wybaczcie. – Hagarian zmieszał się – Nic o tym nie wiedziałem. Na Jednego! Cały oddział?

– Stu dwudziestu dwóch ludzi. – hrabia wsunął rękę za pazuchę – Tak, udawały nam się długo niezwykle rzeczy. Wielokrotnie sprowadzałem oddział zza Grzmiącej bez choćby jednego rannego. Nie straszne były nam zasadzki orków. Wróg jakby nas nie widział. Nasze słynne rajdy i podchody... . Moi dragoni mieli mnie za jasnowidza. Ja sam siebie za błogosławinego. Jakby Jedyny obdarował mnie łaską. A potem, nagle, wszystko przepadło. Wpadliśmy w zasadzkę. Nie, inaczej: kierowany pychą wprowadziłem kompanię w potrzask. – głos gościa przeszedł w szept – Wyrwaliśmy się w kilku, straszliwie poharatani. W drodze powrotnej niektórzy z nich zaczęli podważać mój autorytet. Brak dyscypliny mógł znów doprowadzić nas do tragedii. Wróg stapał nam po piętach. Zrobiłem co było trzeba. – Duszan zawiesił głos – Wróciłem... sam. Po powrocie czekał na mnie sąd wojskowy. Splendor prysł, ujawnili się starzy wrogowie, zazdrośnicy, wywleczono dawne grzeszki. Wiesz, że przywlekli tam nawet inkwizytora!? Musieli planować to od dawna... . Przejrzałem na oczy i posłałem ich wszystkich precz. Teraz uciekam, przed wszystkim i wszystkimi.

Zapadło milczenie. Na zewnątrz zaczął kropić deszcz szybko przybierając na sile. Duszan zacisnął nagle wargi i jakby walcząc z samym sobą wyjął zza pasa podłużne zawiniątko. Położył je, czy raczej przycisnął do stołu.

– Cóż to? – gospodarz nachylił się przysuwając świecę.

– Łup wojenny – hrabia rozwinął lnianą chustkę ukazując długie na pół łokcia, błyszczące, stalowy pręt grubości kciuka z wieńczącą go gładką gałką. – Buława. – szepnął zmienionym głosem. – Wara! – syknął, gdy Wilhelm sięgnął dłonią po przedmiot.

Gospodarz obruszył się krzyżując ręce na piersi.

– Wybacz Wilhelmie. – zreflektował się gość. – Wojna szarga nerwy, a ta rzecz... Mam ją od roku. Pewnego dnia natknęliśmy się na niewielki oddział, na nasz widok zaczęli rejterować. Musiał być to jakiś znaczny wódz czy szaman z eskortą. Elf. Pamiętasz te ich nieruchome, trupioblade twarze z wielkimi oczami przypominającymi węgle? – Duszan mimowolnie gładził buławę zniszczonymi palcami mówiąc coraz szybciej. – Po naszej stronie Grzmiącej Rzeki skalp elfa wciąż wart jest ćwierć srebrnika. Ale wracając... . Dopadliśmy ich. Wyrznięliśmy bezduszców. Przy elfie znalazłem to. Ot, buława chyba, może berło? Pamiątka. Trofeum. Nie rozstaję się z nim. Przynosi mi szczęście. Może to dzięki niej wszystko się udawało? Ale dlaczego teraz zawodzi? – gość spojrział pytająco w zaniepokojoną twarz gospodarza. Ten pokręcił głową i spytał cichym głosem:

– Hrabio... . Janisie, DLACZEGO tu przyjechałeś? Po pomoc? Radę? Opiekę? Powiedzże, a będziesz mnie miał do usług. Jak kiedyś. – Hagarian przełknął ślinę – Zanim powaśniła nas miłość do tej samej kobiety.

Przez chwilę twarz Duszana zmieniła się. Wyrzwał z niej człowiek osaczony, samotny, przerażony nawet. Chciał coś rzec, coś z siebie wyrzucić. W zamian ścisnął tylko dłoń na buławie.

Jednym haustem dopił wino.

– Nieee. – dziwnie jęknął wstając i starannie zwinął valdorski przedmiot w lnianą szmatkę. Wetknął zawiniątko na powrót za pazuchę kaftana, zgarnął pałasz z pendentem, chwilę rozglądnął się za brakującym kapeluszem po czy podszedł do drzwi.

– Hrabio, zaklinam! Jeszcze nie jest za późno. – krzyknął za nim gospodarz. – Janisie! Coś cię trapi człowieku, bardzo mocno. Może dlatego tu przyjechałeś. Szukając możliwości pozbycia się tego, rozgrzeszenia.

Duszan odwrócił się do Hagariana z ręką na klamce.

– Pozbycia? Czego? – spytał. – Na rzecz kogo?

– Zaczynij od wyrzucenia tej przeklętej rzeczy. – gospodarz postąpił krok do przodu wyciągając rękę – Póki nie jest za późno! Odpoczniesz, zastanowimy się... .

– Zamilcz! – warknął Duszan – Nie zdzierzę ni chwili dłużej Twych zacnych mądrości. Pomyliłem się przybywając tutaj. – hrabia chciał wyjść z tymi słowami, ale coś go powstrzymało, widać się pod czaszką. – Nie myśl, że tak dobrze mnie znasz! – wyrzucił z siebie – O nie. Nie znasz. Nie znasz ludzi. Nic o nich nie wiesz. Nie znasz dobrze nawet własnej małżonki panie hrabio! Wiedz jedno – Eliza żałowała, że oddała rękę tobie. Jej listy... . To stąd wiedziałem gdzie Was szukać, znałem adres. To dla niej tu przyjechałem. Chciałem wziąć ją od was. Uczynić szczęśliwą. Błagała mnie o to. – Duszan wrócił na środek izby z ręką przyciśniętą do boku. – Jak widzicie zatem

žadnej rady od was nie potrzebuję. Nie chcę. Nic wam też nie oddam!

Gospodarz stał osłupiały. - Panie, jesteś tu gościem. - wycedził wreszcie po dłuższej chwili czerwony na twarzy - Gościem nieoczekiwanym. Teraz już niemile widzianym. Przez wzgląd na dawną przyjaźń zapomnę wasze słowa. Żegnaj was!

- Żegnasz mnie? Przeganasz? - hrabia wziął się pod boki kołyszając na piętach, prowokując. - Tylko tyle? Przeganasz mnie? Jakże taki kmiot i tchórz mógł kiedyś zaslepić Elizę? Jak ja mogłem kiedyś zwać cię przyjacielem? To mi wytłumaczysz?

Gospodarz stał chwile skamieniały, a potem powoli podniósł rapier oparty o ścianę - Stawaj! - wycharczał ciskając w kął pochwę - Jeśliś przyjechał tu obrażać mnie i walczyć, nie trzeba było tyle zwlekać i pleść te wszystkie brednie.

Duszan także obnażył ostrze pałasza. Zamigotało na nim światło dopalającej się świecy. Krew odpłynęła z twarzy wojkowego, wykrzywione usta obnażyły zęby. Hrabia natarł nagle na gospodarza wściekle i chaotycznie siekąc i kłując. Hagarian kopnął mu pod nogi zydel. Odbił i pchnął! I o włos uniknął riposty. Złożyli ostrza raz, drugi, trzeci. Małe pomieszczenie utrudniało szermierkę. Krzyżowana stal jęknęła metalicznie. Walka nie przypominała żadną miarą pojedynku dwóch bieglých w szermierce szlachciców. Raczej zwadę pijanych obwiesi. Nagle Duszan rozciął przeciwnikowi biceps. Zbijając ostrze hrabiego Hagarian cofnął się ku ścianie. Zwarli się, zaczęli siłować. Gospodarz z sapnięciem odepchnął hrabiego na stół.

- Dość! - krzyknął podnosząc lewą rękę i opuszczając uzbrojona prawicę. - Stój mówię!

Duszan znieruchomiał dysząc ciężko. Oparł o blat.

- Co my robimy na Jedynego? - spytał spocony Hagarian - Dlaczego? Czuję tu rękę Kusiciela! Potrzebujesz medyka Janis, ja zresztą też. A bardziej jeszcze księdza!

- Niecee. - hrabia zgiął się w pół, jakby pod wpływem przemożnego bólu, wewnętrznej walki. Zawył. - Niecee! Nie. Dla mnie jest już za późno Wilhelmie. Aaaaah!

Chwyciwszy się za serce Duszan potknął się i przewrócił na podłogę. Upuszczony pałasz zabrzączał na płytkach posadzki. Gospodarz podbiegł do leżącego i chwycił go za ramiona.

- Wytrzymaj Janisie! Pójdę po medyka, to ulicę dalej. Wytrzymaj człowieku! Nie takie rany zwyciężałeś!

- Nie stary przyjacielu. To nie rana. - wyszeptał Duszan łapiąc urywanie oddech - Mam w duszy dziurę wielką, przepastną. Krwią i bólem starałem się ją zatkać ale tylko ją powiększałem. Jakby rozum mi odjęło... Buława. Sny. Wilhelmie, Eliza... Nigdy... ratujże mnie... święty Mero... - z ostatnim oddechem duch uleciał z wyprężonego w spazmie ciała.

Po chwili bezgłośnej modlitwy gospodarz ułożył na wznak zwłoki przyjaciela zamykając mu szkliste oczy. Dźwignął się nie bez trudu z kolan i podszedł do stołu. Postawił przewrócony zydel i znieruchomiał zaskoczony. Na blacie, na rozłożonej chuście leżał valdorski artefakt.

- Nie zabrał go więc... - wyszeptał do siebie zdziwiony Hagarian. - Nieszczęsny. Zostawił je, oparł się urokowi. A ono się zemściło. Taki kawałek metalu... - Wyciągnął rękę by zawinąć przedmiot. - Czy to możliwe?

Jego dłoń zacisnęła się na buławie. Poczł wypełniającą go moc.